ROZMAITOŚCI.

Dnia 27. Grudnia. № 52. Roku 1855.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA
Południowéj Ameryki.

Z dziennika podróży młodego Anglika.

(Ob. N. 47. 48. 49. 50. 51. Rozmaitości.)

III. Adela. *)

Pochód nasz skierowany był ku wielkiemu budynkowi; otoczyliśmy go i zatrzymaliśmy się znowu. Starzy stali ciągle na dachu u parapetu, oddani na pastwę trwogi i drzący jak dzieci.

Nie bójcie się niczego! przychodzimy do was jako przyjaciele! wołał Seguin w obcym dla nas języku, dając im pewne znaki; ale głos jego z trudnością przebijał się śród krzyków dających się słyszéć ze wszystkich stron. Powtórzył więc te same słowa i znaki. z większą energią.

Starzy ugrupowali się na brzegu parapetu, a pomiędzy niemi odznaczał się szczególniéj jeden. — Białe jak śnieg włosy spadały mu aż do pasa, błyszczące ozdoby wisiały u jego uszu i na piersi. Ubrany był w suknię białą. Zdawał się być naczelnikiem, wszyscy inni byli mu posłuszni. Skinął ręką — krzyki ucichły, a on nachylił się, jakby chciał do nas mówić.

— *Amigos! amigos!* zawołał wreszcie po hiszpańsku.

— Tak, tak! jesteśmy przyjaciele, — odpowiedział Seguin w tym samym języku. Nie bójcie się niczego, nie myślimy wam nic złego robić.

— I za cóż byście wy nam źle robili? My jesteśmy w pokoju ze wszystkiemi białemi ze wschodu. My jesteśmy dzieci Montezumy — jesteśmy Nawajowie. Cóż tedy chcecie od nas?

— Przyszliśmy tu po nasze krewne, po wasze białe branki. To są nasze żony i córki!

— Po białe branki! mylicie się. My tu żadnych jeńców nie mamy. Te, których szukacie są u Apachów, daleko ztąd na południe!

— Nie. One są u was, odparł Seguin, — mam o tém dokładne i pewne wiadomości. Nie ociągajcie się więc daremnie; — odprawiliśmy bowiem daleką

*) Imię zaginionéj córki Seguina.

podróż, żeby je odebrać, i nie odejdziemy bez nich.

Starzec obrócił się do swoich towarzyszy; poczęli rozmawiać ze sobą po cichu i gestami. Po chwili zwrócili się znów twarzami ku Seguinowi.

— Wierz mi panie naczelniku, rzekł ów starzec, że jesteś źle poinformowany. My tu niemamy wcale białych branek.

— Hola! A to bezczelny stary kłamca! — krzyknął Rube, wychodząc z tłumu i zdejmując czapkę z kociej skóry. — Czy mię ty poznajesz *Dziecko?*... *)

Naga czaszka błysnęła w oczy Indyanom; szmer pomieszania przebiegł pomiędzy nimi. Naczelnik o siwych włosach zdał się być przerażony. On zna historyą téj głowy z wydartym *scalpem.*

Głuche przekleństwa dały się słyszéć między naszemi. Widzieli oni pędząc ku miastu białe kobiéty; bezczelne zatem kłamstwo Indyanina rozdrażniło ich do najwyższego stopnia, i dokoła rozległ się groźny szelest stępli, probujących w lufach naboju.

— Wyrzekłeś kłamliwe słowa starcze! krzyknął Seguin. Wiemy dobrze, że macie u siebie białe branki; a więc oddajcie je, jeżeli chcecie ocalić swoje głowy.

— A prędko! wrzasnął Garéj, z groźnym gestem podnosząc swoję rusznicę. — Prędko! albo ci wysadzę mózg ze staréj czaszki!

— Cierpliwości, *amigo!* obaczysz nasze białe kobiéty; ale to nie są wcale branki; — to są nasze córki — dzieci Montezumy.

To rzekłszy, Indyanin zeszedł na trzecie piętro świątyni, zniknął w jednych drzwiach, i powrócił niebawem, prowadząc za sobą pięć kobiét w stroju Nawajów. Były to kobiéty i młode dziéwczęta, a na piérwszy rzut oka można było poznać, że należą do rasy hiszpańsko-mexykańskiéj.

Ale byli między nami i tacy, którzy je bliżéj znali. Trzy z nich, poznane zostały natychmiast przez tyluż naszych, rzuciwszy się ku parapetowi, poczęły wyciągać ku nim ręce i wydawać radośne okrzyki. — Ci, do których się te wykrzykniki ściągały wołali na nie: „Pepe! Rafaela! Jesusita!“ dając im najsłodsze przytém, pieszczotliwe nazwy, i kazali im zejść, wskazując na drabiny.

— Bajan, ninnas, bajan, aprisa! aprisa! (Schodźcie, kochane dziéwczęta, schodźcie! prędko! prędko!)

Drabiny były na terasach, ale dziéwczęta nie mogły ich poruszyć, a panowie ich stali obok, milczący, z nasuniętemi brwiami.

— Spuście drabiny! krzyknął Garéj, składając się z rusznicy, — spuście drabiny, i pomóżcie dziéwczętom zejść, albo natychmiast jednego z was trupem położę!

— Drabiny! drabiny! tłum zakrzyknął.

---

*) *Rube* nazwany *Dziecko*, który służył za przewodnika w całéj téj wyprawie, jako dokładnie znający miejscowość, był poprzednio w niewoli u Nawajów, z któréj przebiegłością swoją ocalił się prawie cudownie, równie jak od śmierci, gdyż dzicy zdjęli z niego *scalp*, poczém wieczna została mu pamiątka.

Indyanie musieli być wreszcie posłuszni; — dziéwczęta zeszły, po chwili padły w objęcia swoich przyjaciół.

Dwie z nich pozostały na górze, bo trzy tylko zeszły. Seguin zsiadł z konia i obejźrzał je pilnie. Żadna z nich niebyła przedmiotem jego poszukiwań.

Wstąpił więc na drabinę, a za nim kilku ludzi. Pędząc z terasu na teras, stanął wreszcie na trzeciém piętrze i rzucił się ku dwom pozostałym brankom. One poczęły uciekać przed nim, i niewiedząc z jakim zamiarem ku nim przychodzi, poczęły wydawać krzyki przestrachu.

Seguin rzucił na nie przeszywającym wzrokiem. Ojciec pytał się swego rodzicielskiego instynktu, swojéj pamięci.... Jedna z tych dwóch kobiét była stara — to nie ona; — druga była okropna, nosiła na sobie wszystkie cechy niewoli.

— Mój Boże! czyżby to ona być miała! zawołał ze łkaniem. Ale ona miała znak.... Nie, nie, to być nie może.

Skoczył, chwycił dziéwczynę za rękę, i odsłonił jéj rękaw aż po ramię.

— Nie! zawołał, — niemasz nic — to nie ona! Puścił ją, a rzucił się ku staremu Indyaninowi, który usunął się przerażony strasznym wyrazem jego spojźrzenia.

— To nie są wszystkie! krzyknął Seguin głosem grzmiącym; macie inne, — przyprowadź je starcze, albo cię zgniotę na ziemi!

— My tu niemamy żadnych innych białych kobiét, odpowiedział Indyanin głosem spokojnym i pewnym.

— Kłamiesz! kłamiesz! Ale mi życiem za to odpowiesz! Hola! Rube! pójdź go zawstydzić!

— Kłamiesz, stara kanalio! Zobaczysz, że twoje białe włosy nie długo zostaną na swojém miejscu, jeżeli jéj natychmiast nieprzyprowadzisz! A gdzie królowa?

— Na południu!

I Indyanin wskazał ręką w południowym kierunku.

— O! mój Boże! mój Boże! zawołał Seguin w rodzinnym swoim języku, z wyrazem głębokiéj rozpaczy.

— Nie wierz mu kapitanie! Widziałem dosyć Indyan w mojém życiu, ale nieznam żadnego tak bezczelnego kłamcy, jak ten stary hultaj. Słyszałeś przecie co powiedział z początku o innych dziéwczętach.

— To prawda; dopiéro co skłamał bezczelnie... ale ona.... ona może naprawdę ztąd daleko...

— Nie masz w tém ani słówka prawdy. Ten hultaj tylko kłamać umie. — To jest mistrz w szarlatanizmie i obłudzie. Jest tutaj młoda dziéwczyna, którą oni zowią: *królową tajemnic*. Ona wié dużo rzeczy, i pomaga temu staremu rozbójnikowi w jego kuglarstwach i obrządkach. Dla tego on téż niechciałby jéj stracić, ale jestem pewny, że ona tu jest gdzieś, tylko ukryta.

— Towarzysze! krzyknął Seguin z parapetu, bierzcie drabiny, przetrząśnijcie wszystkie domy, każcie z nich wyjść wszystkim mieszkańcom, starym i młodym, i spędźcie ich na dolinę. Każdy

kąt przejźrzyjcie — odszukajcie moje dziecko!

Skalpery porwali za drabiny, i wkrótce stali się panami wszystkich domów, i powypędzali z nich mieszkańców, wydających krzyki przestrachu.

W kilku domostwach napotkano mężczyzn, wojowników, maroderów, dzieci i *dandysów*. Ci którzy się opierali, w jednéj chwili zostali zamordowani, a po zdjęciu *scalpów*, zrzuceni na dół.

Tłumy mieszkańców spędzono przed świątynię; były to prawie same kobiéty i dziéwczęta.

Seguin przeglądał je wszystkie z uwagą. Za przybyciem każdéj nowéj gromady wszystkim odsłaniał twarze — ale na próżno. Było między niemi wiele młodych i ładnych — ale wszystkie były żółte jak liście z drzew opadłe. Jéj, jak nie było tak nie było.

Przypadkiem wzrok mój padł na owe trzy świéżo uwolnione branki, stojące obok swych przyjaciół. One by może potrafiły wskazać miejsce, gdzie się owa *królowa* znajduje.

— Ich się spytaj — rzekłem po cichu naczelnikowi.

— Ah! masz słuszność, nie pomyślałem o tém. Chodźmy! — chodźmy!

Zeszliśmy po drabinach i pobiegliśmy ku brankom. Seguin opisał im w krótkości tę, któréj szukał.

— Toby chyba była *królowa tajemnic*; rzekła jedna z nich.

— Tak, tak! krzyczał Seguin, drżąc w téj niepewności — to ona — królowa tajemnic.

— Jeżeli tak, to ona jest w mieście, rzekła druga.

— Ale gdzie? gdzie? krzyczał coraz bardziéj biedny ojciec, odchodząc prawie od zmysłów.

— Gdzie ona? gdzie? powtarzały dziéwczęta zapytując jedna drugiéj.

— Ja ją widziałam dziś rano, niedawno — co tylko przed waszém przybyciem.

— Ja widziałam jego, jak ją uprowadzał, rzekła druga wskazując na starego Indyanina. On ją gdzieś ukrył.

— *Caval!* zawołała trzecia — może w *Estufie!*

— W *Estufie?* co to znaczy?

— Jest to miejsce, gdzie się pali ogień święty i gdzie on przygotowuje swoje leki.

— A gdzie to jest? zaprowadźcie mię!

— *Ay de mi!* my nie wiemy drogi! To jest miejsce, w którém palą ludzi. *Ay de mi!*

— Ale to pewno, panie, że ono jest w świątyni, gdzieś pod ziemią. *On* o niém wié dobrze, bo *on* tylko ma prawo tam wchodzić. *Carrai! Estufa* jest to straszne miejsce! — tak przynajmniéj wszyscy o niém powiadają.

Na te słowa, nagła myśl przebiegła przez głowę Seguina. Córka jego może jest w niebezpieczeństwie — może już nie żyje, albo kona właśnie w strasznych męczarniach. Prócz tego uderzył go, równie jak nas wszystkich, wyraz zimnéj złośliwości, malujący się na twarzy starego Indyanina. W fizyognomii jego widać było coś więcéj, niż zwyczajnie

w fizyognomii indyjskiéj — widać było coś, co oznaczało postanowienie zginąć raczéj, niż poniechać to, co sobie raz w głowie ułożył. Znać było w nim tę chytrość szatańską, charakterystyczny rys tych ludzi, którzy w pośród dzikich ludów potrafią się wynieść na tę godność, jaką on śród Indyan zajmował.

Tą myślą miotany, Seguin pobiegł na powrót ku drabinom, wbiegł na dach z kilku ludźmi, rzucił się na kłamliwego kapłana i chwytając go za długie włosy, krzyknął:

— Prowadź mię do niéj! prowadź mię do téj królowéj — do téj królowéj tajemnic! *To moja córka!*

— Twoja córka! królowa tajemnic! odparł Indyanin, drżąc o swoje życie, ale usiłując jeszcze stawić opór. Nie, człowieku biały, nie, ona nie jest twoją córką: królowa jest z naszych. Ona jest córką słońca, dzieckiem jednego z naczelników Nawajów!

— Nie kuś mnie dłużéj starcze, powiadam ci nie kuś mnie! Słuchaj: jeżeli jeden włos spadnie z jéj głowy, wszyscy odpowiecie mi za nią. Jednéj istoty żywéj nie zostawię w mieście. Marsz! prowadź mię do *Estufy!*

Do *Estufy!* do *Estufy!* zawołał wielkim głosem cały tłum z dołu.

Silne ręce pochwyciły Indyanina za ręce i za włosy. Przed oczyma jego błysnęły noże już krwią opłynięte. Ściągnięto go z dachu i zwleczono po drabinie.

Nie opierał się dłużéj, bo widział, że wszelkie wahanie stałoby się hasłem jego śmierci. Na poły prowadzony, na poły prowadząc cisnących się za nim, przybył na dół świątyni. Tutaj wszedł w kurytarz, do którego wejście ukryte było pod skórami z bawołów. Seguin szedł tuż za nim, niespuszczając go z oka, nie popuszczając go z ręki. My szliśmy tłumnie za nimi, pchając się jedni na drugich.

Tak przebyliśmy mnóstwo ciemnych, ponurych krużganków, formujących nieprzebyty labirynt, i nareszcie stanęliśmy w miejscu otwartém. Fantastyczne obrazy, mistyczne symbole straszliwéj religii uderzyły nasze oczy. Mury pokryte były odrażającemi postaciami i skórami dzikich zwierząt. Widać tam było okropny łeb siwego niedźwiedzia, białego bawołu, pantery i wiecznie głodnego wilka. Obok nich wisiały rogi i kości czelne łosia i żubra. Tu i owdzie stały posągi bożyszczów, o kształtach dziwacznych i potwornych, niezgrabnie ciosane z drzewa lub z czerwonego kamienia, obficie znajdującego się na pustyni.

Lampa zawieszona u sklepienia słabe do koła rzucała światło, a na niewielkiém *brasero*, umieszczoném mniéj więcéj na środku, tlał mały płomyk niebieskawy. Był to ogień święty, — ogień błyszczący od wieków na cześć bożka *Quetzacoalt!*

Niezatrzymując się wcale nad rozważaniem tych wszystkich przedmiotów, rozbiegliśmy się we wszystkich kierunkach, przewracając po drodze bałwany i zdzierając poświęcone skóry.

Ogromne węże, przestraszone tym niespodzianym napadem, wyczołgały się ze swych kryjówek i poczęły się obwijać

koło nóg naszych. Strach nas ogarnął, bo usłyszeliśmy szelest ogona grzechotnika. Wtedy towarzysze moi skoczyli, i ubili ich znaczną liczbę kolbami; reszta uciekła.

Stał się wielki krzyk i zamięszanie, a tymczasem wyziewy węglane coraz bardziéj zaczęły nam dokuczać, — dusiliśmy się prawie. Ale gdzież się podział Seguin? którędy wyszedł?...

Wtém usłyszeliśmy krzyki. Był to głos kobiéty, z którym mięszał się głos męski. Rzuciliśmy się w stronę, zkąd nas te krzyki dochodziły, zdarliśmy gwałtownie zasłonę ze skór, która nam stanęła na drodze, i ujźrzeliśmy naczelnika. W objęciach swoich trzymał on kobiétę, — młodą dziéwczynę — piękną, młodą dziéwczynę, okrytą złotem i świetnemi piórami.

W chwili gdyśmy weszli, krzyczała i chciała się wyrwać z jego objęć; ale on trzymał ją mocno i podniósłszy rękaw jéj tuniki ze skóry jelonka, oglądał uważnie jéj lewe ramię. Nagle przycisnął ją do piersi:

— To ona! to ona! krzyknął głosem drżącym od wzruszenia. O mój Boże! to ona!... Adelo! Adelo! niepoznajesz mię? Jam twój ojciec!...

Ale ona krzyczała, odpychała go, a wyciągała ręce ku Indyaninowi, wzywając jego pomocy.

Biédny ojciec począł do niéj przemawiać, z całą energią najczulszéj, najgorętszéj miłości rodzicielskiéj; ale ona nie słuchała, odwróciła twarz, i z największem wysileniem przyczołgawszy się do nóg kapłana, objęła go za kolana.

— Nie poznaje mię! O Boże! moje dziécię! moja córko!... Nareszcie Seguin przemawia do niéj jeszcze po indyjsku tonem prośby.

— Adelo! Adelo! jam twój ojciec!

— Ty? któż ty jesteś? Ty jesteś biały! a biali to nasi nieprzyjaciele. Precz ztąd ludzie biali!

— Kochana, droga Adelo! nie odpychaj mię — jam twój ojciec; nieprzypominasz sobie?...

— Mój ojciec!... mój ojciec był wielkim wodzem. Ale umarł; a teraz: oto mój ojciec; słońce jest moim ojcem. Jam jest córka Montezumy! jam królowa Nawajów!

Gdy te słowa wyrzekła, dziwna zmiana stała się w całéj jéj postaci. Już się nie czołgała jak przedtém. Wyprostowała się, przytłumiła krzyki, i stanęła pełna dumy i gniewu.

— Ah! Adelo! mówił daléj Seguin coraz natarczywiéj — przypatrz mi się... czyż sobie nic nie przypominasz? Przypatrz się mojéj twarzy! O mój Boże! przypatrz się temu oto: to twoja matka! Adelo patrzaj, to jéj portret, — Przypatrz się temu aniołowi Adelo!

To mówiąc Seguin dobył miniatury, którą nosił na piersiach, i podsunął ją pod oczy swéj córki. Przedmiot ten zwrócił na siebie jéj uwagę. Patrzy nań, ale żadne przypomnienie nie maluje się na jéj twarzy. Widać, że to tylko ciekawość jéj pobudzona została.

Nareszcie zdała się być dotkniętą energicznym, a błagalnym tonem swego ojca; patrzyła na niego przez chwilę z zadziwieniem, ale potém odepchnęła go

znowu. Widocznie nie mogła go poznać. Straciła pamięć ojca i wszystkich swoich. Zapomniała języka, którym przemawiała w dzieciństwie — zapomniała rodziców, rodziny, — zapomniała wszystkiego!

Nie mogłem wstrzymać się od łez, patrząc na twarz mego nieszczęśliwego przyjaciela. Podobny do śmiertelnie rannego, ale jeszcze żyjącego człowieka, stał wpośród nas wyprostowany, milczący, przybity boleścią. Głowa opadła mu na piersi, krew wyciekła z policzków, a oko błądziło do koła z wyrazem osłupiałości, na którą przykro było patrzéć. Łatwo mogłem sobie wyobrazić straszną walkę, miotającą jego piersiami.

Zaniechał dalszych usiłowań, przekonania swéj córki. Nie zbliżał się już nawet do niéj — tylko stał jakiś czas w téj samćj postawie nie rzekłszy ani słowa.

— Wyprowadźcie ją! mruknął nakoniec głosem głuchym i złamanym. Jeżeli Bóg pozwoli, może sobie przypomni z czasem... kiedyś!....

INDYANKI.

(Dokończenie. Ob. Nr. 51. Rozmaitości.)

Jedyna sztuka, jaka kobiétom indyjskim według świętéj ustawy dozwoloną, jest taniec. Oprócz tancerek kościelnych są w całych Indyach i tancerki światowe, zwane u Europejczyków z portugalska *Bajadery*. I te również dziéwczęta, między któremi znajduje się wiele mahometanek i osób z klas najniższych, układają do tego od dzieciństwa. Po części są to dzieci tancerek, częścią zaś odkupione rodzicom lub porwane. Przyuczają je zawczasu do przyszłego powołania, i zawsze w dali od miejsca rodzinnego.

Ochmistrzyni utrzymująca tanecznice, stara się o ich ubior i potrzeby życia, lecz nie raz i po dworach książąt mają te dziéwczęta liche utrzymanie. Urodliwe tanecznice przychodzą jednak często do wziątku a nawet i majątku, a niektóre z nich noszą na sobie znaczny skarb w złocie i brylantach. Ubior ich zresztą bardzo wytworny i kosztowny. Głowę, szyję, uszy, nos, ramiona, nogi u kostek, a nawet palce u nóg zdobią pierścieniami i drogiemi manelami. Długi kruczy włos spływa w trefionych puklach i warkoczach. Plecy i piersi osłaniają najprzedniejszym szalem, który zarzucają z wdziękiem niezrównanym. Niekiedy popisują się w towarzystwie tancerza. Najpiękniejsze tancerki wychodzą z Benares, i tą zaletą wyposażone puszczają się w strony dalekie. Życie im upływa śród pląsów, zalot i przesadzania się w strojach, i pokąd służą młode lata, mogą liczyć wiele na swoją urodę. Mają miłość u ludu, a łaskę u księży. Kiedy przeciągają ulicami na wozach z uprzężą byków spasłych i wymuskanych i w stroju lśniącym i bogatym, natenczas raduje się lud widokiem ich urody, udatnością postawy i ponętą członków pieszczonych i potoczystych, przeglądających z-pod obsłon i opon subtelnych. Większego uroku nadaje pochodowi temu śpiew ich monotonny i melancholijny przy wtórze tamburynu i małego bębenka.

Bajaderki z Delhi noszą białe katanki z przodu otwarte i spadające na biodra, tudzież jedwabne zwykle czerwone pantaloniki sięga-

jące po kostki i ozdobione pierścieniami i dzwoneczkami. Stanik przepasują taśmą srebrzystą z kutasami; na pantaloniki obszerne przybierają czerwoną spodniczkę, a od głowy spływa aż do stóp zasłona szeroka barwy szkarłatnéj lub zielonéj, i tkana bogato złotem lub srebrem. Zarzutką tą osłaniają w tańcu to twarz z przymilającém pochyleniem głowy, to zawijają na ramiona z wyuczoną zalotnością, i wabią widzów strzelistém i czarującém spojźrzeniem czarnych oczu. Ubawiwszy przytém widzów zgrabném śród pląsów wyginaniem członków, stają nagle w miejscu i kręcą się wrzecionkiem. Ulotne ich spodniczki wzdymające się w tym ruchu, okalają je wtenczas jakby obręczą. Wznoszą zgrabnie ramiona, chwytają niemi w powietrzu, igrają zasłoną, stają na paluszkach, i jakby pewne już zachwycenia widzów nachylają od siebie szyję z igrającym uśmiechem. Noszą naramienniki i branzoletki, a u szyi zawieszają złote łańcuszki i koleje. Złotą, perłami sadzoną agrafą spinają pukle włosów spadające na czoło, i zdobią je prócz tego różnemi błyskotkami. Również bogatemi wisiorami przyozdabiają nos, uszy i palce, a paznogcie u rąk i u nóg farbują kraską czerwoną.

Bajaderki przenoszą się ciągle z jednego miejsca na drugie, zwiedzają domy prywatne i przedstawiają tańce, pantominy, a czasem także i sceny dramatyczne. Trudno zresztą zaprzeczyć i temu, że pląsy ich nie zawsze zgadzają się z wyobrażeniem przyzwoitości u widzów europejskich.

Ale na starość schodzą bajaderki indyjskie często na nędzę, jeźli wcześnie nie szukają i nie znajdą przytułku stałego w jakim mahalu książęcym.

PIOSNKA SERBSKA.

Ne valja gubiti vrijeme.	Nie godzi się tracić pory.
Zima prodże,	Zima mija
Duszice moja!	Moja duszeczko!
A prolecze dodże,	A wiosna się wzbija,
Ptice poju,	Ptactwo śpiewa,
Duszice moja!	Moja duszeczko!
Cvetaju rużice;	Rozkwitły róźeczki;
Sve se ljubi,	Świat się lubi
Duszice moja!	Moja duszeczko!
I vreme ne gubi;	I pory nie gubi;
A ti, zlato,	A ty, złota
Duszice moja!	Moja duszeczko!
Neljubljeno drago,	Bezmiłośną drogą
Vreme gubisz,	Porę gubisz,
Duszice moja!	Moja duszeczko;
A mene ne ljubisz.	I ani mię lubisz.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*